

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



HENRYK SIENKIEWICZ

STARY SŁUGA

WYDAWNICTWO TOWER PRESS

GDAŃSK 2002

Obok starych ekonomów, karbowych i leśników drugim typem niknącym coraz bardziej z powierzchni ziemi jest stary sługa. Pamiętam, za czasów mego dzieciństwa służył u rodziców moich jeden z tych mamutów, po których wkrótce tylko kości na starych cmentarzyskach, w pokładach grubo zasypanych niepamięcią, od czasu do czasu będą badacze odgrzebywali. Nazywał się Mikołaj Suchowolski, był zaś szlachcicem ze wsi szlacheckiej Suchej Woli, którą często w gawędach swych wspominał. Ojciec mój odziedziczył go po śp. rodzicu swoim, przy którym za czasów napoleońskich wojen był ordynansem. Kiedy w służbę do dziada mojego nastąpił, sam nie pamiętał ściśle, a zapytany o datę, zażywał tabaki i odpowiadał:

– Ta byłem jeszcze gołowąsem, a i pan pułkownik, Panie świeć nad jego duszą, jeszcze koszulę w zębach nosił.

W domu rodziców moich pełnił najrozmaitsze obowiązki: był kredencierzem, lokajem; latem w roli ekonoma chodził do żniwa, zimą do młocarni, posiadał klucze od składu wódczanego, od piwnic, od lamusu; nakręcał zegary, ale przede wszystkim zrzędził.

Człowieka tego nie pamiętam inaczej, jak mruczącego. Mruczał na ojca mego, na matkę; ja bałem się go jak ognia, choć go lubiłem; w kuchni wyrabiał brewerie z kucharzem; chłopaków kredensowych ciągnął za uszy po całym domu i nigdy z niczego nie był kontent. Kiedy zaproszył głowę, co stale zdarzało się co tydzień, omijali go wszyscy, nie dlatego, żeby pozwalał sobie robić burdy z panem lub panią, ale że jak się do kogo przyczepił, to chodził za nim choćby przez cały dzień, kawęcząc i gderając bez końca. W czasie obiadu stawał za krzesłem ojca i choć sam nie posługiwał, ale doglądał posługującego chłopca i zatruwał mu życie ze szczególniejszą pasją.

– Oglądaj się, oglądaj – mruczał – to ja ci się obejrzę. Patrzcie go! nie może duchem usługiwać, tylko będzie nogami włóczył jak stara krowa w marszu. Obejrzyj się jeszcze raz. On nie słyszy, że go pan woła. Zmień pani talerz. Czego gębę otwierasz? co? Widzisz go! przypatrzcie mu się!

Do rozmowy prowadzonej przy stole stale się wtrącał i stale był wszystkiemu przeciwny. Nieraz, bywało, ojciec odwrócił się przy stole i mówi:

– Mikołaj powie po obiedzie Mateuszowi, żeby założył konie: pojedziemy tam a tam.

A Mikołaj:

– Jechać? dlaczego nie jechać. Oj jej! Abo to konie nie od tego. A niech-ta koniska nogi połamią na takiej drodze. Jak z wizytą, to z wizytą. Przecie państwu wolno. Czy ja bronię? Ja nie bronię. Czemu nie! I obrachunek może poczekać, i młocka może poczekać. Wizyta pilniejsza.

– Utrapienie z tym Mikołajem! – wykrzyknął, bywało czasem, zniecierpliwiony mój ojciec.

A Mikołaj znowu:

– Czy ja powiadam, że nie głupi. Ja wiem, że ja głupi. Ekonom pojechał na zaloty do księżej gospodyni z Niewodowa, a państwo by nie mieli jechać na wizytę. Albo to wizyta gorsza od księżej gospodyni? Wolno słudze, wolno i panu.

I tak szło już w kółko bez sposobu zatrzymania starego marudy.

My, to jest ja i brat młodszy mój, baliśmy się go, jak wspomniałem, prawie więcej niż naszego guwenera, księdza Ludwika, a z pewnością więcej niż obojga rodziców. Dla sióstr był grzeczniejszy. Mawiał każdej „panienka”, choć były młodsze, ale nas tykał bez ceremonii. Dla mnie jednak miał on szczególniejszy urok: oto nosił zawsze kapiszony w kieszeni.. Nieraz, bywało, po lekcjach wchodziłem nieśmiało do kredensu, uśmiecham się, jak mogę, najgrzeczniej, przymilam jak najuprzejmiej i nieśmiało mówię:

– Mikołaju! Dzień dobry Mikołajowi. Czy Mikołaj będzie dziś czyścił broń?

– Czego Henryś tu chce? Ścierkę przypaszę, i basta.

A potem, przedrzeźniając mnie, mówił:

– Mikołaju! Mikołaju! Jak chodzi o pistony, to Mikołaj dobry, a nie, to niech go wilcy zjedzą. Lepiej byś się uczył. Strzelaniem rozumu nie nabierzesz.

– Ja już skończyłem lekcje – odpowiadam na wpół z płaczem.

– Skończył lekcje. He! skończył. Uczy się, uczy, a głowa jak pusty tornister. Nie dam, i kwita. (To mówiąc szukał już po kieszeniach.) Jeszcze mu kiedy piston w oko wpadnie i będzie na Mikołaja. Kto winien? Mikołaj. Kto dał strzelać? Mikołaj.

Tak gderząc szedł do pokoju ojca, zdejmował pistolety, przedmuchiwał je, zapewniał jeszcze sto razy, że się to wszystko na licha nie zdało; potem zapalał świecę, nakładał piston na panewkę i dawał mi mierzyć, a wtedy nieraz jeszcze miałem ciężki krzyż do zniesienia.

– Jak on to ten pistolet trzyma – mówił – jak cyrulik s...gę. Gdzie tobie świece gasić? – chyba jak dziadowi w kościele! Na księdza ci iść, zdrowaśki odmawiać, ale nie być żołnierzem.

Swoją drogą, uczył nas swego dawnego wojennego rzemiosła. Często po obiedzie, ja i mój brat uczyliśmy się maszerować pod jego okiem, a z nami razem maszerował i ksiądz Ludwik, który to robił bardzo śmiesznie.

Wtedy Mikołaj poglądał na niego spod oka, a potem, choć jego jednego najwięcej bał się i szanował, nie mógł przecie wytrzymać i mówił:

– E! kiedy to jegomość akurat tak maszeruje jak stara krowa.

Ja, jako najstarszy, najbardziej byłem pod jego komendą, najwięcej też cierpiałem. Swoją drogą, stary Mikołaj, gdy oddawano mnie do szkół, buczał tak, jakby się największe nieszczęście wydarzyło. Opowiadali mi rodzice, że potem jeszcze bardziej stetryczał i nudził ich ze dwa tygodnie.

– Wzięli dziecko i wywieźli – mówił. – A niechta umrze! Uu! u! A jemu po co szkoły. A bo to on nie dziedzic. Po łacinie się będzie uczył? Na Salomona chcą go wykierować. Co to za rozpusta! Pojechało dziecko i pojechało, a ty stary łaż po kątach i szukaj, czegoś nie zgubił. Na licha się to zdało.

Pamiętam, gdym pierwszy raz przyjechał na święta, spali wszyscy jeszcze w domu. Jakoś dopiero dniało: ranek był zimowy, śnieżny. Ciszę przerywało skrzypienie żurawia od studni na folwarku i szczekanie psów. Okiennice w domu były pozamykane, tylko okna w kuchni gorzały jasnym światłem, barwiącym na różowo śnieg leżący pod przyzbą. Zajeżdżam tedy smutny, zmartwiony i ze strachem w duszy, bo pierwszą cenzurę miałem wcale nieszczęśliwą. Ot po prostu, nimem się opatrzył, nim przywykłem do rutyny i karności szkolnej, nie umiałem sobie dać rady. Bałem się więc ojca, bałem się surowej, milczącej miny księdza Ludwika, który mnie przywiózł z Warszawy. Znikąd tedy otuchy, aż tu patrzę, otwierają się drzwi od kuchni i stary Mikołaj, z nosem zaczerwienionym od zimna, brnie po śniegu z garnuszkami dymiącej śmietanki na tacy.

Gdy mnie zobaczył, „Paniczku złoty, najdroższy!” jak krzyknie i stawiając szybko tackę, przewraca oba garnuszki, łapie mnie za szyję i poczyna ścisnąć i całować. Odtąd zawsze mnie już tytułował paniczem.

Swoją drogą, przez całe dwa tygodnie nie mógł potem darować mi tej śmietanki.

– Człowiek niósł sobie spokojnie śmietankę – mówił – a on zajeżdża. Akurat sobie czas wybrał... itd.

Ojciec chciał, a przynajmniej obiecywał mi dać w skórę za dwa mierne z kaligrafii i z niemieckiego, jakie z sobą przyniosłem; ale z jednej strony moje łzy i przyrzeczenia poprawy, z drugiej interwencja mojej słodkiej matki, a na koniec awantury, jakie wyrabiał Mikołaj,

stały temu na przeszkodzie. Mikołaj o kaligrafii nie wiedział, co by to było za stworzenie, a o karze za niemiecki ani chciał słyszeć.

– A cóż to on luter jest czy szwab jaki? – mówił. – Albo to pan pułkownik umiał po niemiecku? albo to pan sam (tu zwracał się do mojego ojca) umie? co? Jakiśmy spotkali Niemców pod... jakże się nazywa? pod Lipskiem i diabeł wie nie gdzie, tośmy, pada, nic nie mówili do nich po niemiecku, tylko, pada, to pada, zaraz pokazali nam grzbiety i pada, tyle.

Stary Mikołajsko miał jeszcze jedną właściwość. Rzadko się rozgadywał o dawnych swoich wyprawach, ale gdy w szczególnych chwilach dobrego humoru się rozgadał, to kłamał jak najęty. Nie czynił tego ze złą wiarą; może w starej głowie fakta mieszały się mu jedne z drugimi i rosły aż do fantastyczności. Co gdzie usłyszał o wojennych przygodach za czasów lat swych młodych, stosował to do siebie i do dziada mego, pułkownika, a święcie sam wierzył w to, co opowiadał. Nieraz w stodole pilnując pańszczyźniaków młócących zboże, jak im zaczął rozprawiać, to chłopci zawieszali robotę i poopierawszy się na cepach, słuchali z porozdziawianymi ustami jego opowiadań. To się, bywało, spostrzegł i w krzyk:

– Czegożeście wyrychtowali na mnie gęby jak armaty, co?

I znowu łupu! cupu! łupu! cupu! Słysząc było przez jakiś czas odgłos cepów uderzających o słomę; stary milczał, ale po chwili zaczynał:

– Pisz mi mój syn, że właśnie został generałem u królowej Palmiry. Dobrze mu tam jest, pada, żołd, pada, bierze wysoki, tylko, pada, że mrozy ogromne panują... itd.

Mówiąc nawiasem, dzieci nie udały się staremu. Syna miał istotnie, ale był to wielki nicpoń, który doszedłszy lat, nabroił Bóg wie co, a wreszcie poszedł w świat i znikł gdzieś bez śladu; córka zaś jego, swego czasu podobno cud dziewczyna, bałamuciła się ze wszystkimi oficjalistami, jacy tylko byli we wsi, i wreszcie wydawszy na świat córkę, umarła. Córka ta zwała się Hania. Była to moja rówieśnica, śliczna, ale słabowita dziewczynka. Nieraz, pamiętam, bawiliśmy się razem w żołnierze: Hania bywała dobozem, a pokrzywy naszymi nieprzyjaciółmi. Dobra była i łagodna jak anioł. Czekala ją także ciężka dola w świecie, ale to są już wspomnienia, które do rzeczy nie należą.

Wracam tedy do opowiadań starego. Sam słyszałem go opowiadającego, że jak raz rozhukały się konie ułanom w Mariampolu, to osiemnaście tysięcy ich wpadło raptem przez rogatki do Warszawy. Ilu ludzi natratowały! co to był za sądny dzień, nim je połapano, łatwo sobie wyobrazić. Drugi raz opowiadał, ale to już nie w stodole, tylko nam wszystkim we dworze, co następuje:

– Czy się dobrze biłem? co się nie miałem dobrze bić! Raz, pamiętam, była wojna z Austriakiem. Stoję ja sobie w szeregu, no! w szeregu, mówię, aż tu podjeżdża do mnie

naczelnym wódz, niby, chcę powiedzieć, od Austriaków, od strony przeciwnej i pada: „Ej, ty, Suchowolski, znam ja ciebie! żebyśmy, pada, ciebie złapali, to byśmy, pada, i całą wojnę skończyli.”

– A o pułkowniku nie wspomniał? – zapytał mój ojciec.

– A jakże! przecie wyraźnie mówiłem, że, pada, ciebie z pułkownikiem.

Ksiądz Ludwik się zniecierpliwiał i rzekł:

– Ależ ty, Mikołaju, łżesz, jakbyś osobny żołd za to pobierał.

Stary nachmurzył się i byłby się oburknał, ale że ksiądz bał się i poważał, więc milczał, a po chwili chcąc jakoś załagodzić sprawę, mówił dalej:

– To samo mi powiedział i ksiądz Sieklucki, kapelan. Jak raz dostałem od Austriaka bagnetem pod dwudzieste, chciałem powiedzieć pod piąte żebro, było ze mną źle.

Ha! myślę, trzeba umrzeć, spowiadam się więc Panu Bogu Wszechmogącemu z moich grzechów przed księdzem Siekluckim, a ksiądz Sieklucki słucha, słucha, a w końcu powiada: „Bój się Boga, Mikołaju, pada: taćżeś ty wszystko zełgał!” A ja mu na to: może być, ale sobie więcej nie przypominam.

– I wyleczyli cię?

– Wyleczyli, wyleczyli! Co mnie mieli wyleczyć! Ja sam się wykurowałem. Jak raz nie rozmieszam dwóch nabożów prochu w kwaterce wódki, jak nie łyknę na noc, tak na drugi dzień wstałem zdrów jak ryba.

Byłbym więcej nasłuchał się tych opowiadań i więcej wam ich napisał, ale ksiądz Ludwik, nie wiem zresztą dlaczego, zakazał Mikołajowi „do reszty, jak mówił, mi głowy zawracać”. Biedny ksiądz Ludwik, jako ksiądz i cichy mieszkaniec wioski, nie wiedział, po pierwsze, że każdemu młodzieńcowi, którego burza z cichego kąta rodzinnego na szeroką arenę życia wyrzuci, musi się nieraz głowa zawrócić, a po wtóre, że nie starzy słudzy i ich opowiadania, ale zgoła kto inny głowę zawraca.

Zresztą, wpływ Mikołaja na nas nie mógł być szkodliwy, bo, przeciwnie, stary sam czuwał nad nami i nad naszym postępowaniem nader starannie i surowo. Był to człowiek w całym znaczeniu tego wyrazu sumienny. Z czasów żołnierskich pozostał mu jeden bardzo piękny przymiot, to jest właśnie owa sumienność i dokładność w wypełnianiu rozkazów. Pamiętam, jednej zimy wilki poczęły u nas robić ogromne szkody i rozzuchwały się tak dalece, że nocą wchodziły po kilku i kilkunastu do wsi. Ojciec, sam zawołany myśliwy, pragnął wyprawić polowanie; że zaś chodziło mu o to, żeby nad obławą objął komendę sąsiad nasz, pan Ustrzycki, znany tępicielem wilków, napisał więc do niego list, potem zawołał Mikołaja i rzekł:

– Arendarz jedzie do miasta, niech Mikołaj zabierze się z nim, niech wysiadzie po drodze w Ustrzycy i odda panu list. Tylko koniecznie przywieźć mi odpowiedź: bez odpowiedzi mi nie wracać.

Mikołaj wziął list, zabrał się z arendarzem i pojechał. Wieczorem arendarz wrócił: Mikołaja nie ma. Ojciec myślał, że może zanocował w Ustrzycy i że wróci nazajutrz razem z naszym sąsiadem. Tymczasem upływa dzień, Mikołaja nie ma; upływa drugi, nie ma; trzeci, nie ma. W domu lament. Ojciec w obawie, że może wilki napadły go w czasie powrotu, rozsyła ludzi. Szukają i nie mogą znaleźć ani śladu. Posyłają do Ustrzycy. W Ustrzycy powiadają, że był, pana nie znalazł, że się o niego wypytywał, gdzieby bawił; potem pożyczył od lokaja cztery ruble i poszedł nie wiadomo dokąd. Zachodziliśmy w głowę, co to wszystko mogło znaczyć. Na drugi dzień wrócili posłańcy z innych wiosek z wiadomością, że nigdzie nic nie znaleźli. Jużeśmy tedy zaczęli go oplakiwać, aż tu szóstego dnia na wieczór, ojciec właśnie wydawał dyspozycje w kancelarii, nagle słyszy za drzwiami wycieranie nóg, chrząkanie i mruczenie półgłosem. po którym natychmiast poznał Mikołaja.

Istotnie, był to Mikołaj, przeziębiony, wychudzony, zmęczony, z soplami lodu na wąsach, prawie do siebie niepodobny.

– Mikołaju, bójże się Boga! coś ty robił przez tyle czasu?

– Co robił, co robił – mruczy Mikołaj. – Co miałem robić? Nie zastałem pana w Ustrzycy, pojechałem do Bzina. W Bzinie powiedzieli mi, że się na licha zdało, bo pan Ustrzycki pojechał do Karolówki. Pojechałem i ja. W Karolówce już go takóŜ nie było. Albo to mu niewola cudze kąty wygrzewać? Czy to on nie pan? Przecie piechotą nie chodzi. Dobrze mówię. Z Karolówki poszedłem do miasta, bo mówili, że pan w powiecie. A jemu co za sprawa w powiecie, czy to on wójt? Pojechał do guberni. Miałem wracać, czy co? Poszedłem do guberni i oddałem mu list.

– No i dał ci odpowiedź?

– Dał, nie dał. Jużci dał, tylko się naśmiał ze mnie, aż mu trzonowe zęby było widać. Pan twój, pada, prosił mnie na polowanie na czwartek, a ty mi w niedzielę list, pada, oddajesz. Już, pada, po polowaniu. I znowu się śmiał. Oto jest list. Dlaczego się nie miał śmiać? Albo...

– I cóżeś ty jadł przez ten czas?

– To i cóŜ, że od wczoraj nie jadłem? Albo to ja tu głód cierpię? Albo to mi łyżki stawy żałują? Nie jadłem, to będę jadł...

Odtąd już nikt Mikołajowi nie wydawał bezwzględnych rozkazów, ale ile razy go gdzie wysyłano, zawsze mu mówiono, co ma robić na wypadek, gdyby kogo nie zastał w domu.

Jakoś w kilka miesięcy później pojechał Mikołaj na jarmark do pobliskiego miasta za kupnem koni fornalskich, bo na koniach znał się doskonale. Wieczorem ekonom przyszedł powiedzieć, że Mikołaj wrócił, konie kupił, ale wrócił pobity i że wstydzi się pokazać. Ojciec poszedł natychmiast do niego.

– Co tobie jest, Mikołaju?

– Pobitem się – odburknął krótko.

– Wstydz się, stary. Burdy po jarmarku będziesz robił? Rozumu nie masz? Stary, a głupi! Wiesz ty, że innego wypędziłbym za taką sprawkę. Wstydz się. Musiałeś się upić. To ty mi psujesz ludzi, zamiast im dawać przykład.

Ojciec mój gniewał się istotnie, a gdy się gniewał, to nie żartował. Ale co było dziwne, że Mikołaj, który zwykle w takich razach nie zapominał języka w gębie, tym razem milczał jak pień. Widocznie stary zaciął się. Na próżno dopytywali go inni, jak i co to było. Odburknął się tylko jednemu i drugiemu i nie powiedział ani słowa.

Jednakowoż poturbowali go nie żartem. Nazajutrz rozchorował się tak, że potrzeba było posyłać po doktora. Doktor dopiero wyjaśnił całą sprawę. Przed tygodniem ojciec wyczubił był karbowego, który na drugi dzień uciekł. Udał się do niejakiego pana von Zoll, Niemca, wielkiego nieprzyjaciela mego ojca, i przystał do niego na służbę. Na jarmarku znajdował się pan Zoll, nasz dawny karbowy i parobcy pana Zolla, którzy przygnali opasowe woły na sprzedaż. Pan Zoll pierwszy zobaczył Mikołaja, zbliżył się do jego wozu i począł na ojca wygadywać. Mikołaj nazwał go za to odmieńcem, a gdy pan Zoll dodał nową obelgę na ojca, Mikołaj zapłacił mu za nią biczyskiem. Wówczas to karbowy wraz z parobkami Zolla rzucili się na niego i pobili go aż do krwi.

Ojcu memu, gdy usłyszał to opowiadanie, łzy zakręciły się w oczach. Nie mógł sobie darować, że wyburczał Mikołaja, który naumyślnie o całej sprawie zamilczał. Gdy wyzdrowiał, ojciec poszedł mu robić wymówki. Stary początkowo nie chciał się przyznać do niczego i według zwyczaju mruczał, ale potem rozczulił się i popłakali się razem z ojcem jak bobry. Zolla wyzwał ojciec za tę sprawę na pojedynek, który Niemiec długo popamiętał.

Jednakże gdyby nie doktor, poświęcenie Mikołaja pozostałoby w ukryciu. Tego doktora, swoją drogą, Mikołaj przez długi czas nienawidził. Była to rzecz taka: miałem śliczną i młodą cioteczkę, siostrę ojca, która mieszkała przy nas. Kochałem ją bardzo, bo była równie dobra jak piękna, i bynajmniej mnie nie dziwiło, że kochali ją wszyscy, a między wszystkimi i doktor, człowiek młody, rozumny i w całej okolicy nadzwyczaj poważany. Mikołaj poprzednio lubił doktora, mawiał nawet o nim, że to łebski chłopak i że dobrze na koniu siedzi; ale gdy doktor począł bywać u nas w widocznych zamiarach względem cioci Maryni,

uczucia Mikołaja dla niego zmieniły się do niepoznania. Zaczął być dla niego grzeczny, ale chłodny, jak dla człowieka zupełnie obcego. Dawniej nieraz, bywało, zrzędził i na niego. Gdy czasem zasiedziało się u nas zbyt długo, Mikołaj ubierając go na drogę szemrał:

– Co to po nocy się tłuc. To się na nic nie zdało: czy to kto kiedy widział!

Teraz przestał zrzędzić, ale natomiast milczał jak skamieniały. Poczciwy doktor zrozumiał wkrótce, o co idzie, i jakkolwiek uśmiechał się, jak dawniej, do starego dobrotliwie, przecież myślę, że w duszy musiało mu to być przykro.

Szczęściem jednak dla młodego eskulapa, ciocia Marynia żywiła dla niego uczucia wprost Mikołajowym przeciwne; stało się więc pewnego pięknego wieczora, że gdy księżyc świecił w sali bardzo ładnie, gdy zapach jaśminu wchodził przez otwarte okna z ogrodowych klombów, a ciocia Marynia śpiewała przy fortepianie: „*Io questa notte sogno*”, doktorek Staś zbliżył się do niej i spytał ją drżącym głosem, czy sądzi, że on żyć bez niej potrafi? Ciocia wyraziła oczywiście swoje powątpiewania w tym względzie, po czym nastąpiły wzajemne zaklęcia, wzywanie księżycy za świadka i wszystkie tym podobne rzeczy, jakie się zawsze w takich razach dzieć zwykły.

Na nieszczęście, w tej chwili właśnie wszedł Mikołaj z zamiarem proszenia na herbatę. Gdy ujrzał, co się dzieje, pobiegł natychmiast do ojca, a ponieważ ojca nie było w domu, bo obchodził na folwarku zabudowania, udał się więc do matki, która ze zwykłym sobie łagodnym uśmiechem prosiła go, żeby się do tego nie wtrącał.

Skonfundowany Mikołaj milczał już, gryząc się wewnątrz przez resztę wieczora; ale gdy ojciec przed udaniem się na spoczynek poszedł jeszcze do kancelarii dla napisania jakichś listów, Mikołaj udał się za nim i stanąwszy przy drzwiach, począł chrząkać znacząco i szurgać nogami.

– Czego tam Mikołaj chce? – spytał ojciec.

– A do tego... Jakże się nazywa? A to ja chciałem się pana spytać, czy to prawda, że panienka nasza się... żeni, chciałem powiedzieć: idzie za mąż?

– Prawda. Alboż co?

– A bo to nie może być, żeby panienka wyszła za tego... pana cyrulika.

– Co za cyrulik? Czy Mikołaj oszalał? Że też Mikołaj musi wszędzie wścibić swoje trzy grosze!

– A cóż to, panienka, to nie nasza panienka? czy to nie córka pana pułkownika? Pan pułkownik nigdy by na to nie pozwolił. Czy to panienka nie warta dziedzica i pana z panów? A doktor to, z przeproszeniem, co? Na śmiech ludzki się panienka poda.

– Doktor to mądry człowiek.

– Mądry, nie mądry. Czy to ja mało doktorów widziałem? Chodzili to po obozie, kręcili się to po sztabie, a jak co do czego, jak do bitwy, to ich nie ma. Albo to pan pułkownik raz ich nazywał lancetnikami. Jak człowiek zdrowy, to on go nie ruszy, a jak leży na wpół żywy, to on dopiero do niego z lancetem. To nie sztuka krajać takiego, co nie może się bronić, bo nic w garści nie może utrzymać. Spróbuj ty go ukrajać, kiedy on zdrowy i trzyma karabin. O jej! wielka rzecz ludziom po kościach nożem chodzić! To się na nic nie zdało! A pan pułkownik chyba z grobu wstał, żeby się o tym dowiedział. Co to za żołnierz, doktor! Albo taki też i dziedzie! To nie może być! Panienska za niego nie pójdzie. To nie jest według przykazania. Komu to po panienskę sięgać?

Na nieszczęście Mikołaja, doktor nie tylko po panienskę sięgnął, ale jej nawet dosięgnął. W pół roku potem nastąpiło wesele i panna pułkownikówna oblana potokiem łez krewnych i domowników w ogólności, a Mikołaja w szczególności, odjechała dzielić dołą z doktorem.

Mikołaj do niej urazy nie chował, bo nie mógł długo chować: zbyt ją kochał, ale jemu nie chciał przebaczyć.

Nie wymieniał prawie nigdy jego nazwiska, i w ogóle starał się o nim nie mówić. Mówiąc nawiasem, ciocia Marynia była za doktorem Stanisławem jak najszcześliwsza. Po roku dał im Bóg ślicznego chłopaka, po roku znowu dziewczynkę i potem już na przemiany, jak zapisał. Mikołaj dzieci te kochał jak własne, obnosił je na rękę, pieścił, całował; że jednak tliła się w sercu jego jakaś gorycz z powodu mezaliansu cioci Maryni, zauważyłem to jeszcze niejednokrotnie. Raz, pamiętam, w święta Bożego Narodzenia zasiedliśmy do wili, gdy nagle z dala po grudzie dał się słyszeć turkot powozu. Spodziewaliśmy się zawsze mnóstwa krewnych, dlatego ojciec rzekł:

– Niech Mikołaj wyjrzy, kto tam jedzie.

Mikołaj wyszedł i powrócił wkrótce z radością na twarzy.

– Panienska jedzie! – wykrzyknął z daleka.

– Kto taki? – spytał mój rodzic, choć wiedział już, o kim mowa.

– Panienska!

– Jaka panienska?

– Nasza panienska – odparł stary.

I trzeba było widzieć tę panienskę, jak wchodziła do pokoju z trojgiem dzieci. Śliczna mi panienska! Swoją drogą stary umyślnie nigdy jej inaczej nie nazywał.

Ale wreszcie skończyła się i jego niechęć do doktora Stasia. Zachorowała mu ciężko Hania na tyfus. Były to i dla mnie dni strapienia, bo Hania była moją rówieśnicą i jedyną towarzyszką zabaw, kochałem ją więc prawie jak siostrę. Owóż doktor Staś trzy dni prawie

nie wychodził z jej pokoju. Stary, który Hanię kochał całą siłą duszy, przez czas jej choroby chodził jak struty; ani jadł, ani spał; siedział tylko u drzwi jej pokoju, bo do łóżka nikomu prócz mojej matki nie wolno było przystąpić, i żuł twardą, żelazną boleść, która rozrywała mu piersi. Była to dusza zahartowana zarówno na trudy ciała, jak i na ciosy niedoli, a jednak mało się nie ugięła pod brzemieniem rozpacz, przy łożu jednego dziewczątka. Aż gdy wreszcie po wielu dniach śmiertelnej bojaźni doktor Staś otworzył cicho drzwi od pokoju chorej i z promienną szczęściem twarzą wyszeptał do oczekujących wyroku w przyległej izbie jeden mały wyraz: „Uratowana!”, stary nie wytrzymał, ale ryknął jak żubr i rzucił mu się do nóg, powtarzając tylko ze łkaniem:

– Dobrodzieju mój! dobrodzieju!

Hania rzeczywiście szybko potem wyzdrowiała; doktor Staś oczywiście został oczkiem w głowie starego.

– Łebski człowiek – powtarzał muskając sumiaste wąsy – łebski człowiek. I na koniu dobrze siedzi, i gdyby nie on, to by Hania... ot! nie chcę nawet wspominać. Na psa urok!

Ale w rok jaki po tym zdarzeniu zaczął zapadać sam stary. Prosta i silna postać jego pochyliła się. Zgrzybiał bardzo, przestał marudzić i kłamać. W końcu, dobiegłszy prawie dziewięćdziesięciu lat życia, zdziecinniał całkowicie. Robił tylko sidła na ptaszki i chował ich mnóstwo, zwłaszcza sikorek, w swojej stancji. Na kilka dni przed śmiercią nie odróżniał już ludzi; ale w sam dzień śmierci dogorywająca lampa jego umysłu zaświeciła raz jeszcze jasnym światłem. Pomnę, że rodzice moi, dla zdrowia matki, byli wtedy za granicą. Pewnego wieczora siedziałem przed kominkiem z bratem młodszym Kaziem i z księdzem, który także bardzo się już był posunął. Wicher zimowy z tumanami śniegu tłukł w szyby; ksiądz Ludwik modlił się, ja zaś z pomocą Kazia opatrywałem broń na jutrzejszą ponowę. Nagle dali nam znać, że stary Mikołaj kona. Ksiądz Ludwik ruszył natychmiast do domowej kaplicy po Sakramenta, ja zaś pobiegłem co tchu do starca. Leżał na łóżku blady już bardzo, żółty i prawie stygnący, ale spokojny i przytomny. Piękną była ta głowa wyłysiała, zdobna dwiema szramami; głowa starego żołnierza i uczciwego człowieka. Światło gromnicy rzucało trumienny blask na ściany pokoiku. Po kątach kwiliły chowane sikorki. Starzec jedną ręką przyciskał do piersi krucyfiks, drugą dłoń jego podtrzymywała i okrywała pocałunkami bledziuchna jak kwiatek lilii Hania. Wszedł ksiądz Ludwik i zaczęła się spowiedź; potem umierający zażądał mnie widzieć.

– Nie ma mojego pana i ukochanej pani – wyszeptał – więc ciężko mi umierać. Ale wy jesteście, paniczu złoty, dziedzicu mój... Opiekujcie się tą sierotą... Bóg wam nagrodzi. Nie gniewajcie się... Jeśli co zawinił... przebaczenie. Bywałem przykry, ale wierny...

Nagle, rozbudzony na nowo, zawołał mocniejszym głosem i z pośpiechem, jakby mu już brakło tchu:

– Paniczu!... Dziedzicu!... moja sierota!... Boże, w ręce... Twoje...

– Polecam ducha tego dzielnego żołnierza, wiernego sługi i sprawiedliwego człowieka! – dokończył uroczyście ksiądz Ludwik.

Starzec już nie żył.

Uklękliśmy i ksiądz począł głośno czytać modlitwy za umarłych.

Upłynęło od tego czasu lat kilkanaście. Na mogile poczciwego sługi porosły bujnie wrzosa cmentarne. Nadeszły smutne czasy. Burza rozwiała święte i ciche ognisko mojej wioski. Dziś ksiądz Ludwik już w grobie, ciocia Marynia w grobie; ja piórem na gorzki chleb powszedni zarabiam, a Hania...

Hej! łzy się kręcą!